

---

Byłem zafascynowany perspektywą studiów biologicznych. Wszystko wydawało mi się ciekawe. Studia były o tyle liberalne, że można było nie zdawać żadnych egzaminów. Po pierwszym roku miałem zdane tylko dwa egzaminy – u księdza prof. Szulety z botaniki i u prof. Pniewskiego (wówczas magistra) z matematyki. Na drugim roku zdałem egzamin z zoologii ogólnej u prof. Gieyszтора i po niewielkiej przerwie z genetyki u prof. Gajewskiego.

Na roku było nas około 20, może 25 osób. Połowa z tego to były „panienki z dobrych domów”, które nie dostały się na stomatologię i wobec tego zapisały się na biologię. Uniwersytet dawał im gwarancję, że po roku wysłuchania wykładów na biologii dostaną się na stomatologię.

Miałem zajęcia z chemii, fizyki, biochemii, chemii fizycznej, fizjologii roślin, fizjologii zwierząt, anatomii porównawczej. Egzamin z anatomii zdałem u prof. Jaczewskiego. On mnie mocno zwalczał, bo nie przyznawałem się do wiary w Łysenkę, a Jaczewski był zawsze szalenie prawomyślny. Gdyby nie prof. Kraczkiewicz, to bym nie zagrał miejsca na Uniwersytecie.

Pod koniec drugiego roku studiów ja i jedna z moich koleżanek – Marta Ciświcka – złapaliśmy po wykładzie prof. Kraczkiewicza i bardzo grzecznie go poprosiliśmy, żeby nas przyjął do pracowni zwanej pracownią półdzienną. I myśmy tam rozpoczęli studia cytologiczne. Była pani Górska jako jedyna jego asystentka. Studiowała i kończyła studia chyba jeszcze przed wojną. Miała magisterium i wprowadzała nas w różne arkana technologiczne.

W 1949 roku zostałem asystentem prof. Kraczkiewicza. Fakt bycia asystentem to była szalona nobilitacja. To było jak dostąpienie jakiegoś wyjątkowego wyróżnienia, traktowało się to bardzo serio.

A z odczynnikami było tak: dostawałem tzw. pogotowie kasowe, czyli około 20 złotych w gotówce, chodziłem po mieście i kupowałem to, co mogłem kupić. W centrali odczynników chemicznych nabywałem odczynniki. Jak się zobaczyło w jakimś sklepie albo komisie mikroskop, to się go kupowało. Wydatki notowało się w zeszycie i po wydaniu wszystkiego dostawało się następne pieniądze.

Ksiądz profesor Szuleta nie był jedynym księdzem na Wydziale. Był jeszcze ksiądz prof. Bolesław Rosiński, kierownik Zakładu Antropologii.

*Bohdan Matuszewski*

---

W 1949 roku przystąpiłem do egzaminów na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym UW. Dobre duchy udzieliły mi skutecznego wsparcia. Znalazłem swoje nazwisko na liście przyjętych. Po odbiór indeksu trzeba się było zgłosić w sekretariacie. Oczywiście pędzę tam. Przyjmuje mnie młoda pani, sprawdza nazwisko: „Pan Jerzy Czerski. Proszę pana, ale ja mam tu

zastrzeżenie, że mogę panu wydać indeks pod warunkiem, że pan dostarczy świadectwo moralności”.

Jadę na Żoliborz do Starostwa. Przyjmuje mnie znów jakaś młoda pani. Mówię, o co chodzi, ona zapisuje nazwisko i mówi: „Niech pan przyjdzie za tydzień. Sądzę, że będziemy mieli”. Zgłaszam się po tygodniu. „Proszę pana, nie mogę panu wydać”. „Dlaczego?”. „Dlatego, że jest to decyzja UB [Urzędu Bezpieczeństwa – przyp. red.] na ulicy Felińskiego”. Zgłaszam się do UB. Przyjmuje mnie jakiś młody człowiek. Tłumaczę mu. „Proszę pana, chętnie wydamy panu świadectwo moralności, ale pragnęlibyśmy, żeby pan się do nas zapisał”. „To bardzo ważna decyzja. Muszę się zastanowić”. Wyszedłem i myślę sobie – co ja mam teraz zrobić?

Lecę z powrotem na Uniwersytet do tej pani, która ze mną rozmawiała, i opowiadam, jak moja sprawa wygląda. A ona na to: „Nie mogę wydać indeksu, bo tu jest zaznaczone, że muszę mieć świadectwo moralności”. Z sąsiedniego pokoju wychodzi jakiś pan i mówi do mnie: „Proszę iść do Sądów na Leszno i poprosić o świadectwo niekaralności”. Idę do Sądów i wypełniam ankietę. Po tygodniu mogę się zgłosić po odbiór świadectwa. W wyznaczonym czasie dostaję świadectwo niekaralności. Przynoszę je na Uniwersytet, ale słyszę: „Przecież to świadectwo niekaralności, a ja panu wielokrotnie mówiłam, że to ma być świadectwo moralności”. Znów wchodzi ten sam pan, okazuje się, że to prof. Kemula, dziekan Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego, i zwraca się do tej pani: „Proszę wydać panu Czerskiemu indeks, bo jeżeli jest niekarany, to jest moralny”.

Pierwsze lata studiów były wyjątkowo trudne. Brak było podstawowej aparatury, odczynników i podręczników. Profesor Szuleta niezbędne do ćwiczeń mikroskopu kupował z wózków na ulicy. Szkielek podstawowe jeszcze były, ale szkielek przykrywkowych już nie było, bo to import. Nie mówiąc o odczynnikach.

Bardzo trudnym problemem były mieszkania. W pomieszczeniach na parterze Szkoły Głównej mieszkał prof. Tarwid oraz dr Neuman. Ja przez pewien czas mieszkałem w małym pomieszczeniu, powstałym przez zamknięcie drzwiami końca korytarza.

Studia były dwuetapowe. Pierwszy etap był trzyletni i po tych trzech latach większość kończących studia wysyłano do pracy, przeważnie jako nauczycieli. Mniej więcej jedna trzecia studentów zostawała na dalsze, dwuletnie studia magisterskie. Ta ostatnia grupa podlegała prof. Bassalikowi. Na zebraniu seminaryjnym profesor wybrał mnie jako pierwszego do wygłoszenia referatu. Po temat referatu miałem się zgłosić do dr. Fiuczka. Zgłosiłem się i dr Fiuczek daje mi książkę w języku niemieckim, którego nie znałem. Jej treścią były rozważania na temat energetyki procesów enzymatycznych. Razem z koleżanką Czajkowską, która znała niemiecki, doszliśmy do wniosku, że książka jest dla nas zbyt trudna. Było w niej więcej wzorów i rozważań matematycznych niż treści. W rezultacie postanowiliśmy omówić tylko streszczenie. Nadchodzi czas seminarium. Profesor Bassalik z moimi

kolegami siedzą w ławkach, a ja z przyspieszonym biciem serca i duszą na ramieniu wchodzę na katedrę. Bardzo wolno, spoglądając na profesora, który coraz bardziej czerwienieje, czytam przygotowany referat. Skończyłem, prof. Bassalik wstaje i mówi: „Proszę pana, my rzeczywiście bardzo wiele jeszcze spraw w biologii nie rozumiemy, ale przecież są zagadnienia, które rozumiemy, a z pańskiego wykładu wynika, że my nic nie wiemy. Niech mi pan da tę książkę”. Upływają dwa, trzy, może cztery tygodnie. Profesor Bassalik woła mnie do gabinetu i mówi: „Panie Jurku, ja chciałem pana przeprosić. To jest książka, którą może zrozumieć tylko matematyk. Ja z tego też nic nie rozumiem”.

Jednym z egzaminów, którego się wszyscy lękaliśmy, była fizyka. Do egzaminu prof. Pieńkowski wyznaczał jedną, a najwyżej dwie osoby, i to w godzinach bardzo wczesnych. Mnie profesor wyznaczył egzamin na godzinę piątą rano, w gmachu przy ul. Hożej. Czekam w przedpokoju, patrzę, wchodzi profesor w piżamie i mówi: „Proszę pana, przepraszam, zasnęłam. Niech pan zaczeka, niech się umyję”. Egzamin trwał dość długo. Dostałem czwórkę. Wówczas wyniki egzaminu wypisywano na blankiecie Zakładu Fizyki Doświadczalnej UW.

*Jerzy Czerski*

---

Studia zaczęłam w 1949 roku i to był pierwszy rocznik, który miał studia dwustopniowe. Pierwszy stopień to były trzy lata i dostawało się absolutorium i nakaz pracy do szkoły, bo brakowało nauczycieli. A osoby, które miały najlepsze wyniki, zostawały na studia magisterskie, z tym że kierunki specjalizacji lokalizowano w różnych uniwersytetach. Na przykład fizjologia roślin była na Uniwersytecie Warszawskim, a systematyka roślin w Krakowie.

Na pierwszym roku było nas chyba około 100 osób. Nie mieliśmy żadnych podręczników. Uczyliśmy się z własnych notatek. Dla mnie nie było problemem uczęszczanie na wszystkie wykłady, więc moje notatki krążyły.

Była surowa dyscyplina. Podzielono nas na grupy, każda grupa miała starostę. Starosta był zobowiązany sprawdzać listę obecności. Obecność na wykładach była obowiązkowa. Działała Komisja Dyscyplinarna, ale była bardzo łagodna, wszystkich usprawiedliwiała. Wcielono mnie do tej Komisji Dyscyplinarnej i męczyłam się w niej trzy lata. Jej członkami byli prof. Wincenty Lesław Wiśniewski – dziekan, prof. Kazimierz Tarwid – wtedy docent, i ja jako przedstawiciel młodzieży. Docent Tarwid i prof. Wiśniewski orientowali się, że studenci czasami zarobkują, czasami niektórzy studiują równoległe po cichu medycynę, ale na to wszystko przymykało się oczy. A moja rola polegała tylko na protokołowaniu obrad komisji. O ile pamiętam, nikt nie został relegowany z uczelni. Poza jedną osobą, moją koleżanką z akademika. Nie wiem, z jakich powodów, bo to działo się poza Komisją Dyscyplinarną.

Po pierwszym semestrze, mimo dobrych wyników, po prostu skreślono ją z listy studentów. Miała widocznie jakąś „nieprawomyślną” przeszłość.

Mieliśmy bardzo dużo zajęć, bo w tych pierwszych trzech latach starano się skomasować jak najwięcej wiadomości, żeby ci przyszli nauczyciele czegoś się nauczyli. Na kursie magisterskim było już dużo przyjemniej, lżej.

Po trzecim roku były obowiązkowe praktyki, kandydatów przydziałała Komisja Dyscyplinarna. Wyjeżdżało się do majątków doświadczalnych Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin czy wręcz do PGR-ów. Siedziałam cicho, a Komisja mówi: „Pani oczywiście chce być w Warszawie, więc będzie pani w zielarni na Krakowskim Przedmieściu”. Właśnie tam dostałam praktykę, czego nie mogłam przeboleć, bo tyle osób chciało zostać w Warszawie, a ja właśnie chciałam wyjechać na wieś, ale krępowałam się występować w swojej sprawie.

Po pierwszym etapie studiów zostałam zakwalifikowana na systematykę roślin do Krakowa, ale tam nie pojechałam. Dzięki pracy w Komisji Dyscyplinarnej miałam dosyć bliskie kontakty z doc. Tarwidem. On mi tłumaczył, że systematyka roślin nie ma przyszłości, i pytał, dlaczego ja się na to decyduję. Odpowiedziałam, że miałam w ogóle inny zamysł, bo zdawałam na biologię, licząc na możliwość pracy w hodowli i genetyce roślin. Docent Tarwid na to: „Jeśli tak, to mam dla pani propozycję, bo przy SGGW powstaje jednostka PAN-owska, która będzie się zajmowała genetyką. I gdyby byli zainteresowani pani udziałem, załatwilibyśmy pani studia magisterskie na fizjologii roślin na UW”. W tej nowo powstającej placówce PAN doc. Wacław Gajewski zorganizował Pracownię Systematyki Eksperymentalnej, bo sam zajmował się taksonomią rodzaju *Geum*. A ta nasza systematyka eksperymentalna polegała na tym, że się krzyżowało różne gatunki w obrębie rodzaju i patrzyło, co jest bliżej spokrewnione.

Zofia Świetlińska

---

Profesorów mieliśmy znakomitych, można powiedzieć, stawka przedwojenna, wojenna, powojenna.

Egzaminy to nie było takie coś, szybko, szybko. Godzinę się przesiedziało z profesorem, przepytał od brzegu do brzegu, na rozmaite tematy. Najtrudniejszy egzamin w tamtym czasie to była paleontologia. Wszystko się jednak udało, egzaminy się udały, nawet ten egzamin. Był zresztą dla mnie przepustką do pracy na Uniwersytecie, bo jak się prof. Jaczewski dowiedział, że jest taka dama, co zdała na piątkę, a to była dopiero czwarta, piąta czy szosta piątka po wojnie, to zaproponował: „Może by pani chciała u mnie pracować?”.

Od czasu do czasu u kogoś w domu się spotkaliśmy, ale takiego życia towarzyskiego jak teraz, że idą sobie, gawędzą, gadają przy piwku, przy

winie, to nie, nic takiego nie było. Życie było znacznie trudniejsze. Na Uniwersytecie działało przedszkole, chodziła do niego moja córka. Śmieję się, że bardzo wcześnie zaczęła studia. I chyba skutecznie, bo teraz sama jest profesorem.

W 1957 roku przyjechał do Warszawy szwedzki Czerwony Krzyż. I było napisane, żeby studenci szli się prześwietlić, no to poszłam. I dostałam wynik w kolorze czerwonym, z natychmiastowym obowiązkiem pojawienia się w szpitalu, bo okazało się, że mam gruźlicę. Piękną robotę zrobili ci Szwedzi. Tylko że potem były cztery lata kuracji i oglądanie Tatr z sanatoryjnej werandy. No i bieda, a wspomagali nas, chorych amerykańscy studenci z Ohio Wesleyan University, podsyłając nam paki z żywnością.

Plac Bankowy to była jedna wielka ruina, a dalej w stronę Żoliborza to już nie ruiny, ale pagórki z gruzu, absolutna cisza i żadnego życia. Przychodziliśmy na ten plac, podjeżdżały wagoniki, myśmy wrzucali do tych wagoników gruz i cegły. To był taki sznurek – podaj cegłę. Tą metodą pracowało się w wolne dni. Takie mniej więcej mieliśmy rozrywki. Muszę dodać, że ruiny Warszawy były dla mnie szokiem, bo i Wilno, z którego pochodzę, i Toruń, do którego trafiłam po wojnie, były tylko trochę albo wcale nietknięte przez działania wojenne. A tu same ruiny.

*Katarzyna Niewiadomska*

---

Kiedy zaczynałem studia w 1948 roku, był to jeszcze Wydział Matematyczno-Przyrodniczy. Zajęcia mieliśmy rozrzucone po całej Warszawie. Część na Krakowskim Przedmieściu w Gmachu Pomuzealnym, część w Szkole Głównej, niektóre na ulicy Pasteura, anatomię w podziemiach zburzonego budynku na rogu Oczki i Chałubińskiego, część w Ogrodzie Botanicznym. Jeździło się autobusem z Krakowskiego Przedmieścia. Początkowo autobus nie chodził Nowym Światem, bo jeszcze były gruzy, ale później już tamtędy kursował, z tym że kawałek trzeba było dojść i szło się między gruzami. Po drodze do Obserwatorium Astronomicznego był park Ujazdowski, a przed nim spacerowały matki z wózkami, śmialiśmy się, że obserwujemy przyrost naturalny.

Studia były trymestralne (trwały chyba 10 trymestrów, ale większość studentów pracowała zarobkowo, więc między trymestrami brała niekiedy kilkumiesięczne przerwy) i międzywydziałowe. Zależnie od kierunku specjalizacji studenci antropologii wybierali odpowiednie przedmioty, tak więc poza zajęciami biologicznymi miałem je na Wydziale Lekarskim (wówczas był na UW, np. dwuletnia anatomia prawidłowa), niektóre na Humanistycznym (np. prehistoria sztuki, etnologia), ale także na Weterynaryjnym (anatomia kręgowców). Miałem również zajęcia z hematologii w Pracowni Rh w Państwowym Zakładzie Higieny, w wyniku których prowadziłem jako

wolontariusz ćwiczenia z hematologii dla moich (starszych!) kolegów na Wydziale Biologii UW.

Początkowo należałem do Bratniej Pomocy Studentów Uniwersytetu Warszawskiego, potem do Zrzeszenia Studentów Polskich. W ZSP byłem przewodniczącym Zarządu Wydziałowego i jako taki wchodziłem w skład Rady Wydziału.

Kierownikiem Zakładu Cytologii był prof. Kraczkiewicz. Jego Zakład był na najwyższym piętrze w Gmachu Pomuzealnym. Niżej był Zakład Mikrobiologii prowadzony przez dr. Wisłockiego (męża Michaliny, autorki *Sztuki kochania*), a na dole antropologia, którą kierował ksiądz prof. Bolesław Rosiński, a asystentem był pierwszy magister antropologii na UW Jerzy Dąbski. Byłem drugim z kolei magistrem, trzecim był Andrzej Wierciński.

Gdy wchodziłem w skład Rady Wydziału (wówczas już Biologii i Nauk o Ziemi), zdarzały się zabawne sytuacje, gdy dwóch półgłuchych profesorów rozmawiało ze sobą przez tutkę i nie miało raczej kontaktu z tematem obrad, gdy więc dochodziło do głosowania, jeden z nich zwracał się do dziekana: „Pragniemy z przekonaniem zagłosować, więc prosimy o zreasumowanie dotychczasowych stanowisk”.

W tym czasie na Wydziale Biologii było dwóch profesorów księży, botanik Szuleta i antropolog Rosiński. W jakiejś gazecie w Moskwie („Prawda”?) ukazał się artykuł, że na Uniwersytecie Warszawskim pracują księża, i Rada Wydziału obradowała nad ich wyeliminowaniem, wówczas nawet młodzieżowi przedstawiciele partii i ZMP (chyba Estera Krajewska i Janka Woroszyńska) głosowali przeciwko ich zwolnieniu.

*Napoleon Wolański*

---

Na pierwszym roku były bardzo dobrze prowadzone pracownie w Zakładzie Anatomii i Cytologii Roślin. Wykłady miał ksiądz prof. Szuleta. Właściwie on się tymi biednymi studentami trochę opiekował, bo byliśmy jak taka gromada zagubionej młodzieży, która nie wiedziała, co ze sobą ma robić. To był rok '48.

Na drugim roku trafiłam do Zakładu Systematyki i Geografii Roślin. Ci, którzy wybrali kierunek botaniczny, mieli na drugim roku systematykę roślin, a ci na kierunku zoologicznym mieli systematykę zwierząt.

*Janina Zielińska*

---

Pracę magisterską zrobiłem u pana prof. Lampego, zajmowałem się barwnikami używanymi do fotografii.

A potem poznałem panią doc. Chmielewską. I byłem pod wielkim wrażeniem jej seminariów. Wiedziałem, że to będzie TO, choć nie używało się jeszcze słowa „biochemia”. Udało mi się dostać do zespołu pani doc. Chmielewskiej, gdzie pracowałem jako chemik, robiąc jakieś analogi witaminy K.

*Stanisław Lewak*

---

Moje lata studenckie (1950–1953) przypadły na czas najgorszy – „władza ludowa” już była w pełni „utrwalona”, a jeszcze żył Stalin. Wszystko działało się przy przemożnej obecności ZMP, czyli Związku Młodzieży Polskiej, komunistycznej przybudówki partii, najpierw PPR, potem PZPR. Jeżeli ktoś się wybierał na studia, musiał przedstawić opinię ZMP ze szkoły. Przynależność do ZMP była niemal powszechna. W mojej klasie było nas tylko dwóch nienależących do ZMP. Jestem z tego bardziej dumny niż z faktu, że nigdy nie należałem do PZPR.

Na Uniwersytecie było podobnie. Co pewien czas na Wydziale, tak jak wtedy w każdym zakładzie pracy, odbywały się „narady produkcyjne”. Zbierano wszystkich, studentów, asystentów, profesorów, i „radzono” nad poprawieniem „produkcji”. To mogło wyglądać na przykład tak, że ci z ZMP mówili, że ten a ten profesor „obniża poziom produkcji”, bo stawia zbyt dużo dwójek. Na roku następnym po moim zetempowcy doprowadzili do odebrania wykładów księdzu prof. Szulecie. Wystosowali list zbiorowy, że do czego to podobne, żeby na tak ideologicznym wydziale jak biologia wykładał ksiądz.

„Troska” ZMP rozciągała się na całe życie studenckie, także na zabawy taneczne. Nowe tańce, przenikające z Zachodu, były politycznie podejrzane i zakazane. Najbardziej nowoczesnym dopuszczalnym tańcem zachodnim był fokstrot. W porządku były też tango i walc. Można było tańczyć tańce ludowe. Mnie to akurat nie przeszkadzało, bo uwielbiałem oberka i polkę, więc wytańczyłem się na studiach do woli. Gdyby ktoś jednak puścił płytę z boogie-woogie, mogło to skutkować wyrzuceniem ze studiów.

Jeszcze przed rozpoczęciem studiów, w kwietniu 1950 roku zacząłem pracować, w jakimś mniejszym wymiarze godzin, w Państwowym Muzeum Zoologicznym (dziś Muzeum i Instytut Zoologii PAN). W preparatorni, potem w kolekcji jaj ptasich, potem w kolekcji muszli morskich ślimaków i małży. Po studiach dostawało się nakaz pracy, ale jeżeli ktoś już gdzieś pracował, to prawie automatycznie tam zostawał, więc sądziłem, że Muzeum mam załatwione.

*Tomasz Umiński*

---

Nie były to lata bogate w imprezy. Najczęściej odbywały się „wieczornice”. Były one organizowane przez grupy studenckie, często zwane „kolektywami”. Wraz z najbliższymi koleżankami tworzyłyśmy „kolektyw”, który prof. Szuleta nazwał „ptysie”, gdyż spotykał nas często w cukierni na Tamce. Sprzedawano tam pyszne ptysie. Przygotowując jedną z wieczornic, do dekoracji użyłyśmy motywów zwierząt i kwiatów zamiast symboli pokazujących zaangażowanie młodzieży w budowę nowego, socjalistycznego ustroju. Nie wywołało to zadowolenia ówczesnych aktywistów studenckich.

*Alina Kacperska-Lewak*

---

Już na początku drugiego roku studiów zebrała się grupa pięciu osób, ze mną włącznie, które uczestniczyły w badaniach jezior okolic Węgorzewa, prowadzonych przez Instytut Rybactwa Śródlądowego. Kierował nami starszy od nas o rok kolega, późniejszy profesor, Kazimierz Dobrowolski. Wyjeżdżaliśmy do Giżycka, spędzaliśmy tam kilka miesięcy w roku, potem na tym samym terenie zbieraliśmy materiały do prac magisterskich. Był to okres silnie scalający naszą grupę, która utrzymywała bliskie kontakty jeszcze przez wiele lat.

*Ewa Pieczyńska*

---

Był to okres kwitnącego stalinizmu, ale nasi profesorowie nic na ten temat na wykładach nie mówili. Po prostu omijali. Co mieli robić?

Oczywiście były takie okropne przedmioty, jak „Podstawy marksizmu-leninizmu” i „Ekonomia polityczna”. Jako młody człowiek miałam doskonałą pamięć, ale wspominam to jako koszmar. Nie znosiłam też chemii i matematyki, zupełnie nie moja dziedzina.

*Teresa Rogulska*

---

Studia na Wydziale rozpoczęłam w roku akademickim 1952/53. Na moim roku było kilkadziesiąt osób, w większości kobiety. Byliśmy w bardzo dobrych relacjach i przez dziesiątki lat po ukończeniu studiów spotykaliśmy się najpierw co rok, a później co dwa lata aż do 2013 roku. Organizatorem naszych spotkań i ich inicjatorem był nasz kolega, prof. Jerzy Moraczewski, prywatnie także wyjątkowy człowiek.



Pierwsze miesiące na Wydziale pamiętam doskonale. Zajęcia z botaniki i zoologii odbywały się na Krakowskim Przedmieściu w gmachu byłej Szkoły Głównej, a zajęcia z chemii przy ul. Pasteura, na Ochocie. Musieliśmy jechać tramwajem przez całe miasto. Bardzo dobrze pamiętam wykłady z botaniki dla pierwszego roku studiów, które prowadził ksiądz prof. Józef Szuleta w dużej sali na pierwszym piętrze. Prezentowane zagadnienia były podane w formie przystępnej i łatwej do zanotowania (łącznie z wykresami itp.) Jeszcze kilka lat temu miałam ten notes w domu. W tym samym gmachu na parterze prof. Zdzisław Raabe prowadził wykłady z zoologii (Instytut Zoologii, Zakład Cytologii). Były interesujące, ale czasami profesor raczył dziewczęta żarcikami, za którymi nie przepadałam.

*Maria Charzyńska*

---

Zaczęliśmy czternastego [września]. Dokładnie pamiętam, bo bardzo byłem przejęty. Przyszedłem w czapce studenckiej UW, którą kupiłem na ulicy Szpitalnej u czapnika; coś takiego wtedy istniało, każda uczelnia miała swój wzór czapki. Pierwszy rok zaczynał dwa tygodnie wcześniej – żeby wprowadzić nas w studia. To wprowadzenie polegało między innymi na wymuszonych „czynach społecznych”. Jeździliśmy wtedy i zbieraliśmy złom na Powiślu. A potem jeździliśmy na wykopki. To były takie studenckie „spontaniczne” czyny społeczne.

Mieliśmy dwa przedmioty ideologiczne. Pierwszym była ekonomia polityczna – jedyny przedmiot, z którego miałem poprawkę, bo grałem na wykładzie w karty. Pani profesor zauważyła nas, zapisała nazwiska i potem wszyscy oblaliśmy egzamin. A drugi przedmiot nazywał się „Historia WKPb” [Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików) – przyp. red.] lub marksizm, leninizm, niezbyt dobrze pamiętam, wykładał prof. Bogacz, a egzamin był jedynie z historii WKPb. Należało pamiętać, o której godzinie oddano strzał z „Aurory”. Na egzaminie prof. Bogacz dociekał, jakie są moje koligacje z socjalistą i piłsudczykiem Jędrzejem Moraczewskim.

Na wykłady chodziliśmy wszyscy, bo wykłady były obowiązkowe. Starosta grupy stał w drzwiach i odhaczał, kto przychodzi, kto nie. Jeśli ktoś nie przyszedł, to potem na zebraniu ZMP musiał się tłumaczyć. Do Związku Młodzieży Polskiej należeli prawie wszyscy, na moim roku tylko cztery osoby nie były jego członkami.

Życie towarzyskie było dość bogate i wesołe. Graliśmy w brydża. Piliśmy razem wódkę i chodziliśmy na różne potańcówki. Odbywały się co tydzień. Były za darmo albo były płatne. Takie potańcówki odbywały się głównie w Sali Śląskiej należącej do Wydziału Geologii, na którym ponad 90 procent studentów to byli chłopcy, a na sąsiadującym z Geologią Wydziale Biologii (wówczas Biologii i Nauk o Ziemi) większość to dziewczyny. Poza tym były

oczywiście „Hybrydy” na Mokotowskiej. „Stodoła” pojawiła się później. Pod względem towarzyskim było niezmiernie wesoło. Organizowaliśmy w Szkole Głównej jakieś tam połowinki, nie połowinki, na które przychodzili profesorowie. Zawsze był prof. Kraczkiewicz, zawsze był prof. Raabe, zawsze był prof. Teleżyński. Byliśmy bardzo życzliwi. I to pozostało do dziś. Co pięć lat organizuję spotkania naszego rocznika '53/'54.

Specjalności w zakładach zoologicznych wybieraliśmy dopiero na magisterium. Ci, którzy chcieli się zajmować protozoologią, szli do prof. Raabego. Na hydrobiologię szło się do prof. Gieyszтора, na ekologię do prof. Tarwida, a po jego odejściu – do prof. Petruszewicza. Petruszewicz i pani dr Rudzka prowadzili ekologię zwierząt lądowych, natomiast ekologię wodną, która była w pewnym sensie zdublowaniem hydrobiologii, prof. Tarwid. Była jakaś konkurencja między prof. Tarwidem a prof. Gieyszтором. Miałem zamiar robić pracę magisterską u prof. Tarwida. Byłem z nim umówiony w Dziekanowie na spotkanie, na omówienie mojej pracy, gdy w tym samym dniu go aresztowano. I wtedy poszedłem do prof. Gieyszтора.

*Jerzy Moraczewski*

---

Byliśmy nietypowym rocznikiem. Zaczęliśmy studia 1 września 1954 roku, a nie 1 października jak zwykle. Było jeszcze ciepło i fajnie. W połowie września odbyła się pierwsza wycieczka zoologiczna pod kierunkiem dr. Teodora Neumana, Hanki Dobrowolskiej, Zdzisia Olesia i Wandy Riedel. Pojechaliliśmy do Wilanowa kolejką z dworca na rogu Puławskiej i Niepodległości nad jeziora, które są z tyłu Pałacu Wilanowskiego. Zbieraliśmy tam owady, ślimaki, żaby, czegośmy tam nie zbierali! Paru uczestników tej wycieczki wspomina ją do dziś. Było nas na roku 67 osób, podzielonych na cztery grupy. Każda grupa miała starostę. Do jego obowiązków należało odnotowywanie, kto nie był na wykładzie, i informowanie o tym władz dziekańskich. Przez pierwsze dwa tygodnie lataliśmy skrupulatnie na te wykłady, bośmy się bali, że będą jakieś konsekwencje nieobecności. A potem to wygasało, bo nikt się nie chciał bawić w donosicielstwo.

Sekcja Biologii na ówczesnym Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi mieściła się w znacznej części w zabytkowym gmachu byłej Szkoły Głównej Warszawskiej. Parter tego zasłużonego w dziele edukacji budynku, poza szatniami, w całości zajmował Instytut Zoologii, pierwsze piętro zaś mieściło liczne zakłady botaniczne oraz wydziałowe audytorium. To parterowe usytuowanie miało dla nas, pierwszoroczników, z których blisko połowa wybierała się na zoologię, spore znaczenie, bowiem w opustoszałym jeszcze wakacyjnie gmachu naturalną koleją rzeczy było, że penetrowaliśmy długi instytutowy korytarz, w którym stały, pamiętające jeszcze carskie czasy, szafy z równie leciwymi zbiorami. Wiodące z korytarza drzwi do pokojów personelu były